

OPOWIEŚCI Z BAGIEN

Zaśpiewaj dla mnie

MAGDALENA KWIECIEN

OPOWIEŚCI Z BAGIEN

Zaśpiewaj dla mnie

MAGDALENA KWIECIEN

TOM I



Wydawnictwo Vibe

[Kup książkę](#)

Dla mojej córki

PROLOG

Rudowłosa dziewczynka w zadumie spogląda na dogasające płomienie ogniska. Powinna już dawno spać, ale sen nie nadchodzi. Noc otula zebranych ciemnością, ale ona wie, że za chwilę słońce wypchnie z nieba księżyc, by podczas świtu po raz kolejny pochwalić się swoimi zachwycającymi barwami. Lecz jeszcze nie teraz. Gwiazdy spoglądają na łąkę i swym delikatnym blaskiem podtrzymują atmosferę tej niezwyklej nocy.

Śpiew i taniec na polanie od zawsze wprawiały ją w zachwyt. Dopiero jednak dziś poczuła, że mogłaby tam stanąć wraz z siostrami i tańczyć do utraty tchu. W całym ciele wibrowała melodia, a nuty niczym krew krążyły w krwiobiegu. Kiedy dziecko zaśpiewało uśpioną od lat melodię, serca wszystkich na chwilę się zatrzymały. Nikt w historii klanu nie zrobił takiego wrażenia jak ona dziś. To było dla niej niezwykle przyjemne uczucie. Cieszyła się, że wywołuje takie poruszenie wśród innych osób. Czuła, że ma w sobie potężną moc, która mogłaby sprawić, by ich serca stanęły już na zawsze. Ale nie chciała tego. Marzyła, by jej głos doprowadzał innych do ekstazy, a nie pozbawiał ich życia.

Panna obejmuje wzrokiem uczestników święta leżących wokół ogniska, otulonych kokonem snu. Delikatnie się uśmiecha, przepełniona dumą i satysfakcją. Nikt tak naprawdę nie wie, dlaczego właśnie dziś

zaśpiewała. Czemu ten dzień był tak wyjątkowy, że z jej ust popłynęła magiczna pieśń. Ona też niedługo o tym zapomni. Ale jeszcze nie teraz.

W trakcie tańca siostr przymyka na chwilę powieki, pozwala porwać się czarowi chwili. I nagle jak żywy pojawia się przed nią obraz maleństwa w łóżeczku zmęczonego długotrwałym płaczem. Nie ma wokół nikogo, kto mógłby je utulić do snu. Rudowłosa panna pragnie je ukołysać, by poczuło się bezpieczne. Malec pozbawiony matczynej piersi bezradnie ssie kciuk. Raptem otwiera zapłakane oczęta. Ich piękno sprawia, że dziewczę zamiera w bezruchu. Niespodziewanie obraz znika i pozostawia za sobą uczucie niedosytu i przemożnej tęsknoty.

W tej chwili rodzi się w niej śpiew. Śpiew, którego nikt nigdy wcześniej nie słyszał. Dziewczynka chętnie oddałaby swój dar, by znowu zobaczyć kwilącego chłopca, ale wie, że to niemożliwe. Mimo wszystko nie podda się rozpacz. Ma przeczucie, że pewnego dnia go odnajdzie. A on będzie na nią czekał.

CZEŚĆ I

DWA ŚWIATY

ROZDZIAŁ 1

ZATOPIENI W MUZYCE

KOSTROMA

Za oknem jest szaro i ponuro. Nie mogłam wybudzić się ze snu. Kłębiące się leniwie chmury nie napawały optymizmem. Jedyne, o czym marzyłam, to otulić się kołdrą i zapomnieć, że rzeczywistość wzywa mnie do siebie. Gdybym żyła jak moje ciotki, nikt by mnie przed dwunastą nie wyrzucił z łóżka. Wybory jednak, jakich dokonałam, wymagały wyrzeczeń, takich jak chociażby wstawanie przed szóstą rano. Mimo że natura się buntowała, a ciało trzymane grawitacją nie chciało się ruszyć, dokonałam niemożliwego i wstałam z łóżka.

Dzień w Poradni Prawnej, ku mojemu rozczarowaniu, sam się nie rozpocznie. Uśmiechnęłam się na wspomnienie wczorajszego wieczoru z muzyką, która mimowolnie wywołuje u mnie dreszcze. Ten głos właściwie nie powinien mi się podobać, a jednak zaczarował mnie i pochłonął bez reszty. Pomimo zmęczenia wstałam i doprowadziłam się do porządku. Zamiast pokusić się o magiczne sztuczki w celu poprawienia swojej urody, wykorzystałam wszystkie środki, jakie zaoferowała mi współczesność. Ta sytuacja wywoływała gromki śmiech u ciotek, które po metamorfozie wyglądały inaczej.

Dzięki naszym magicznym umiejętnościom z łatwością możemy poprawić naszą urodę. Potrafimy być młodsze, ładniejsze i bardziej

powabne. Albo odwrotnie, jeśli zachodzi taka potrzeba. Ja jednak, z uporem maniaka, obstawałam przy swoim naturalnym wyglądzie, w pełni go akceptując. Nie chciałam w lustrze widzieć kogoś, kim nie jestem. Cóż, nikt nie powiedział, że muszę być taka jak reszta wiedźm. Miałam swoje zdanie i swoją niezależność.

Odkąd pamiętam, wyróżniałam się buntowniczą naturą. Pomimo usilnych starań kobiet z klanu, by mnie zmienić, zawsze szłam własną ścieżką. Byłam nierozzerwalnie związana z ciotkami, ale jednocześnie stałam gdzieś obok. Do obrazu całości mojej niepokornej natury można dołożyć przyjaźń z najstarszym znanym mi wampirem, Ludisem. Przyjaźń, która zupełnie nie pasowała do zwyczajów panujących w naszej wspólnotie.

Moje życie było złożone z puzzli, których elementy pochodziły z różnych opakowań. Nie przeszkadzało mi to. Wszystko stanowiło część mnie i nie zamierzałam się temu przeciwstawiać poprzez wybór tylko jednej drogi postępowania.

Ciotki. Kochane, szalone, embrionalnie ze sobą związane. Każda mogła być moją matką. Która z nich nosiła mnie pod sercem? Nie miało to dla mnie już żadnego znaczenia. Wiedzmy po pierwszym roku życia wychowywane były razem przez ciotki, czyli starsze czarownice. Żadna z nas nie wiedziała, czy jej rodzoną matką jest któraś z nich, czy ktoś spoza klanu, w ramach corocznej wymiany. Mimo to wszystkie byłyśmy dla siebie jak siostry, złączone na zawsze przez gen, który decydował o tym, kim jesteśmy.

Władzę nad nami wszystkimi sprawowała Rada Starszych, złożona z samych doświadczonych wiekiem czarownic, oraz Naczelna, Drawena, mająca decydujący głos we wszelkich sporach wewnątrz Rady.

Ojcowie i mężowie wiedźm nie brali czynnego udziału w procesie wychowania przyszłych pokoleń. Zawsze stali gdzieś z boku i nie wtrącali się w sprawy klanu. Wszystkie jednak miałyśmy świadomość, że bez nich byśmy nie powstały. To oni przekazywali nam magiczny gen.

Musiałśmy tylko nauczyć się radzić sobie bez ich obecności w naszym życiu.

Tego męskiego pierwiastka zawsze mi brakowało. Zazdrościłam koleżankom w szkole więzi z ojcem, która była dla nich tak oczywista. Marzyłam o tym, żeby spojrzeć na świat z perspektywy, jaką tylko mężczyzna może przekazać swojemu dziecku.

Wszystko się zmieniło, kiedy w moim życiu pojawił się Ludis. Dzięki swojemu nadzwyczajnemu zmysłowi powonienia znalazłam starą chatkę w głębi lasu, którą zamieszkiwał wampir. Każda z nas, wiedźm, umie zlokalizować te stworzenia z dużej odległości, ale ja miałam większą motywację oraz wyjątkowy talent do odnajdywania innych. Od małego uczono mnie, jak rozpoznawać zagrożenia czyhające na naszą osadę, a wampiry stanowiły dla nas – zaraz po innych nieprzyjaznych wiedźmach – największe zagrożenie.

Kiedy trafiłam na to stare, prehistoryczne indywiduum, nie potrafiłam się go pozbyć. Czułam, że różni się od swoich pobratymców. Wbrew woli ciotek rozpoczęłam tę niełatwą znajomość, która z biegiem lat przerodziła się w przyjaźń i oddanie. Czarownice w końcu zaakceptowały moją niesforną zadziorność i pozwoliły mi na cotygodniowe spotkania, przekonując się, że Ludis nie stanowi zagrożenia dla żadnej z nas.

Początki jednak były bardzo trudne. Ludis przez dziesięciolecia nie wychodził ze swojej nory. Wykorzystywał do tego niezwykłą wampirzą umiejętność, jaką była zdolność samouśpienia, czyli hibernacji.

Miałam dwanaście lat, kiedy stanęłam mu na drodze. Niestety nie dane mi było obudzić go od razu. Nawoływania, pukanie i krzyki nie wystarczyły, by wyrwać go ze snu. Dopiero mój magiczny śpiew sprawił, że otworzył oczy. Mimo to nie opuszczał swojego miejsca, chociaż wiedziałam, że już nie śpi. Opowiadałam mu o sobie, o ciotkach, o marzeniach, o wszystkim, co bolało i co sprawiało radość. Zastanawiam się dzisiaj, czemu wtedy nie uciekł, tylko cierpliwie znosił moje dziecięce zwierzenia, upór i infantylność. Koszmar dla każdego szanującego się

wampira. A jednak kontakt z dzieckiem, tak innym od reszty, poruszył jego smutne serce. I za to kochałam go najbardziej.

Przeciągnęłam się. Wystarczy tego wspomniania i leniuchowania, przecież ludzie na mnie czekają wraz ze swoimi przyziemnymi problemami. A ja byłam tu właśnie dla nich.

DAWID

Ranki zawsze są okropne. Kac męczył mnie od szóstej rano. Uśmiechałam się na wspomnienie wczorajszej imprezy. Jak zwykle było nieprzyzwoicie dużo alkoholu, narkotyków i pięknych dziewczyn. Wymarzony raj każdego muzyka, czyż nie? Dla takich chwil się żyje. Dzisiejsza lekka niedyspozycja mi tego nie zniszczy.

– Marzyłeś o tym, przyjacielu! – krzyknąłem. – A kto powiedział, że marzenia się nie spełniają?

Mój nowy klip znów znalazł się na pierwszym miejscu list przebojów. Który to już raz na przestrzeni tych magicznych trzech lat? Czwarty? Kto by to liczył. Każda płyta po kilku tygodniach pokrywała się platyną.

Pamiętam, jak z ziomkami graliśmy na Krakowskim Przedmieściu. I gdy nas przeganiali jak bezdomne psy za zakłócanie spokoju. A dziś? Jestem królem życia! Do tego zostałem stworzony! Te marne dwadzieścia parę lat to niezbyt długi czas czekania na sukces, który musiał w końcu nadejść.

A jednak jak natrętna mucha przemknęła przez głowę myśl: „Zabijasz się, dzień po dniu”.

– Czy ja nie potrafię cieszyć się tym, co mam? Jestem szczęśliwy, do cholery! – wrzasnąłem, kopiąc kosz na śmieci, czym obudziłem dwie śliczne blondyneczki śpiące w moim łóżku.

– Co się stało? Czemu jest tak głośno? – jęknęła jedna z nich.

– Przeszkadza wam hałas?! To zmywajcie się stąd! – Otworzyłem drzwi, żeby sobie poszły. Chciałem być już sam.



[Kup książkę](#)

Kac kacem, ale nadszedł czas, by doprowadzić się do porządku. Muszę łyknąć tabletkę na kaca i pędzić do studia. Uwielbiałem imprezować, ale to muzyka była całym moim życiem. Trzeba jeszcze podszlifować kawałek, nad którym pracowałem od tygodnia. Musiałem przemyśleć, czy to brzmienie jest dość mocne, a przekaz taki, jak trzeba. Każdy mój utwór miał być arcydziełem i docierać głęboko do świadomości. Nie interesowały mnie tandetne piosenki dla mas. Jeśli perfekcjonizm to grzech, niech zostanie potępiony. Moi fani zasługiwali na to, co najlepsze, czyli na miłość, którą im przekazywałem przez moją twórczość.

To w sumie jedyna miłość, jaką znałem. Nigdy nie spotkałem swoich rodziców: wychowałem się w domu dziecka, a potem na ulicy. To muzyka wyrwała mnie ze szponów nędzy i beznadziei. Obiecałem sobie, że nigdy już nie wrócę tam, gdzie zaczynałem. Ale też nigdy nie zapomnę...

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Gorące osiemnastki z fochem na twarzach opuściły mój dom. Zapewne nie wrócą. Nie szkodzi, przyjdą następne. Wieczorem znów będzie się działo. Wystarczy, że pstryknę palcami, i każda jest moja. Zabójcza mieszanka: młody, przystojny chłopak z gitarą. Do tego jeszcze gwiazda estrady. Która się temu oprze?

Dzwonek smartfona wytrącił mnie z zamyślenia.

– Już późno, stary! Zwijaj się z domu, czekamy na ciebie. Płyta sama się nie nagra – wołał Stefan, basista naszego zespołu. – Podjedź po Bartka i Krystiana, pochwal się nową bryką! Będę czekać pod studiem.

– Na kacu nie będę prowadził! – wrzasnąłem do słuchawki.

– Daj spokój, psy też słuchają naszej muzy. Ale Dejwid, niech cię szlag, za dużo pijesz!

Stefan jak zwykle lubił oceniać moje postępowanie, bo sam od wielu lat stronił od tak łatwo dostępnych używek.

– Człowiek musi się zresetować – broniłem się.

– Zresetujesz się po śmierci, brachu. Weź się za siebie, bo nie chcę szukać nowego wokalu. Zrozumiano?

Głos kolegi brzmiał jak kolejna ojcowska reprimenda. Uśmiechałem się, bo w naszym zespole każdy czasem bawił się w rodzica, by utemperować niesforne młodzieniaszka.

– Dobra, dobra, już się ubieram.

Dzień minął bardzo szybko. Tasmanian Diavoli, nasz zespół, jak zwykle dał z siebie wszystko. Razem stanowiliśmy niezły team. Muzykę mieliśmy we krwi, czuliśmy ją każdym zmysłem. Żyły wypełnione były brzmieniami, które zastępowały czerwone krwinki. Nigdy nie mieliśmy dość. Studio opuszczaliśmy zwykle późnym wieczorem, wykończeni, ale szczęśliwi. Z chłopakami poznaliśmy się w bidulu, ulepiani z tej samej gliny, zawsze trzymaliśmy się razem i marzyliśmy o wielkiej sławie. Aż nadszedł nareszcie nasz czas.

Pędziłem moim czerwonym diabłem do domu. Uwielbiałem samotne powroty, mogłem wtedy rozwinąć prędkość bez obaw, że któryś z chłopaków zacznie panikować. Nie przeszkadzały mi długie dojazdy do Krakowa. Najbardziej męczące były godziny, w których nie miałem nic do roboty. Bezczyenne gapienie się w telewizor wpędzało mnie w depresję. Unikałem tego jak ognia. Kiedy nie nagrywałem, pisałem teksty do piosenek. W głowie ciągle miałem nowe pomysły. A gdy nie pisałem, słuchałem tych wielkich, którzy byli przede mną: The Doors, Iron Maiden, Metallica, Led Zeppelin, Pink Floyd i wielu innych mniej lub bardziej znanych. Bogowie sceny! Pewnego dnia będę jednym z nich. Muzyka to moja jedyna i największa miłość. Bez niej byłbym martwy.

Kiedyś – podczas jednego z wywiadów – jakiś dziennikarzyna zapytał mnie o życie osobiste: kobietę, dom, rodzinę. Moją odpowiedź potem wielokrotnie cytowano w sieci: „Moja żona to scena, moje dzieci to nuty, a rodzina to Diavoli”.

Kobiety to niepotrzebne komplikacje. Wiązanie się z kimkolwiek nie wchodziło w grę. Nie potrzebowałem nikogo poza muzyką, braćmi z zespołu i fanami. To mi wystarczało. Kochałem koncerty. Falowanie

tłumów słuchających naszych dźwięków, skandowanie mojego imienia przez stęsknionych wielbicieli. Koncerty, pomimo iż męczyły, dawały kopa energii, o którym nie śniło się zwykłym śmiertelnikom. Kolejne miasta, kolejne szaleństwa na scenie i melodia przepływająca przez żyły, gorąca jak krew. Czego można pragnąć bardziej? Co może cieśzyć intensywniej?

KOSTROMA

W drodze do biura zatopiłam się w dźwiękach mojej ulubionej kapeli rockowej. W pracy zajmowałam się udzielaniem porad prawnych ludziom, których nie stać było na adwokata z górnej półki. Nie zarabiałam w tej pracy kokosów, ale nie narzekałam.

Od stuleci my, wiedźmy, pomagaliśmy ludziom. Zwykle pomoc dotyczyła spraw związanych ze zdrowiem i przepowiadaniem przyszłości. Ciotki układały tarota, zaparzały ziółka, czytały z ręki, sprzedawały amulety, przeganiały złe uroki, odbierały porody, pracowały jako pielęgniarki w szpitalu i tak dalej. Moje wsparcie polegało na odnajdywaniu drogi w galimatiasie przepisów prawnych. Najlichniej spotykanymi klientami były matki, bite żony, wykorzystywani pracownicy czy zdeperowane ofiary oszustów albo parabanków. Ciotki śmiały się, kiedy zdecydowałam się pójść na prawo, a gdy udało mi się je skończyć, twierdziły, że to pewnie przez uroki rzucane na wykładowców. Cóż, prawie tego nie robiłam... Prawie.

Rzeczywiście, jak każda z nas potrafiłam wpływać na innych. Czasem wystarczył uśmiech albo spojrzenie i sędzia dziwnym trafem podejmował dobrą decyzję, uznając, że moje argumenty są bardziej przekonujące. Adwokaci w drogich i eleganckich garniturach omijali mnie szerokim łukiem na salach sądowych, podświadomie czując, że lepiej nie stawać po przeciwnej stronie barykady. Na szczęście dla nich moi oponenci nigdy nie jeździli czymś lepszym niż zdezelowany ford, a ich marni prawnicy musieli przełykać gorzką pigułkę

niepowodzenia w starciu ze mną. Lubiłam myśleć, że to dzięki sile moich argumentów, ewentualnie siniakom moich klientek, ale cóż. Prawda zawsze leży gdzieś pośrodku.

Dzień zapowiadał się ciekawie. Walczyłam dziś w sądzie o wyłączne prawo mojej klientki do opieki nad dziećmi, alimenty i ograniczenie praw rodzicielskich ojcu, który niestety nie zasługiwał na to miano. Czasem się zastanawiałam, skąd w ludziach tyle zła. Pukanie do drzwi wyrwało mnie z zamyślenia.

– Proszę wejść – oznajmiłam na tyle głośno, żeby mnie usłyszano.

– Dzień dobry, pani mecenas – odparła nieśmiało pani Barbara.

– Jak nastrój, pani Basiu? – Uśmiechnęłam się do niej ciepło.

– Czego się pani spodziewa? Boję się, że nie uda nam się temu bydlakowi odebrać dzieci.

– Pani Basiu, proszę się uspokoić. Po co ja tutaj jestem? Po to, by pani pomóc, prawda? Nie wzięłabym tej sprawy, gdybym nie była przekonana, że dam radę. – Starałam się, by ton mojego głosu nastrojał optymistycznie.

– Myślałam, że ma pani obowiązek brać wszystko, co szef każe.

– Niekoniecznie. Proszę pamiętać, że zawsze można dojść do porozumienia. Robię tak, jeśli do końca nie wierzę, czy klient mówi prawdę. Polubowne łagodzenie sporów to moja specjalność. Ale nie w tym przypadku. O panią i dzieci będę walczyć do utraty tchu. Zrozumiano? – Położyłam dłoń na rękę przestraszonej rozmówczynie.

– Tak jest, pani kapitan!

Wreszcie na twarzy pani Barbary zobaczyłam chwilową ulgę.

– Damy czadu! Ten drań nigdy nie dotknie pani córeczki! – krzyknęłam.

– Ani synka! – zawtórował mi głos pani Basi.

Ponura atmosfera rozplynęła się w okamgnieniu. Moja magia znów zadziałała i nastrój dumnej matki dwojga pociech zmienił się diametralnie. Pozbyła się strachu i nabrała nadziei, że wszystko skończy się po naszej myśli. Ja nie miałam wątpliwości, że sprawa nie jest tak prosta

i oczywista, jak wskazywał mój uspokajający ton. Ale klient nie musi wiedzieć wszystkiego. Pani Barbarze potrzebny był teraz spokój i opamiętanie. Dla niej i dla dzieci strach miał się wreszcie zakończyć. A ja byłam tu po to, żeby tak się stało.

Kilka godzin później sprawa dobiegła końca. Klientka dostała wszystko, czego chciała, choć przekleństwa eksmęża na sali sądowej będą się jej kołatać po głowie długie miesiące. Ale i one pewnego dnia pójdą w zapomnienie.

Kolejny dzień i uśmiech na czyjejs twarzy pomieszany z wdzięcznością. Za to kochałam tę pracę. Właśnie po to kiedyś zostałyśmy powołane do życia. Aby pomagać tym, którzy nie potrafią znaleźć ramienia, na którym mogliby się oprzeć. Nasz klan był pomieszany z klanem pochodzącym z innej części naszego kontynentu. Kilkanaście wieków pod wodzą Naczelnej opuściło swoje siedziby, aby osiedlić się na wschodzie Europy. W Polsce trafiły na nasz słowiański tabor czarownic. Wiedźmy od razu znalazły wspólny język i razem podjęły decyzję o zawarciu paktu i stworzeniu nowego klanu.

Zwyczaj mieszania się klanów nie był odosobniony, ale zazwyczaj polegało to na tym, że dzieci oddawano sobie nawzajem na wychowanie. Zmieszanie się zaś dwóch tak różnych rodów było niespotykane, mimo to czarownice nie miały wątpliwości, że czynią słusznie. Istniejemy w takiej formie za sprawą silnego PRZECZUCIA naszych założycielek. Czaru, którego nie dało się zignorować. Pchające nas do określonego działania, bez patrzenia na konsekwencje, które przeważnie okazują się dla nas przychylne. Ludzie nazywają to szóstym zmysłem. U wiedźm to niezwykle ważny element magii.

Dlaczego czarownice wybrały chłodną wschodnią Europę zamiast ciepłych regionów, z których pochodziły? Podejrzewam, że chodziło o słabszą płodność tamtejszych kobiet. Coraz mniej genów odpowiedzialnych za naszą wyjątkowość przekazywano dalej. Dziewczynki rodzące się bez nadzwyczajnych zdolności musiały być powodem do

zmarłowień tamtejszego klanu. Ich decyzja o opuszczeniu ojczyzny nie należała do łatwych, ale okazało się, że zmieszanie naszych genów to najlepszy możliwy pomysł, ponieważ wiedźmy stały się o niebo silniejsze. Nasze moce osiągnęły niespotykaną dotąd skalę. Mogłyśmy czynić wiele dobrego, ludzie zamieszkujący nasze okolice byli zdrowsi, spokojniejsi i szczęśliwsi.

Moje imię pochodzi od słowiańskiej bogini wiosny i płodności – Kostromy. Zwykle posługuję się końcówką imienia: Roma. Pełne imię znane jest przede wszystkim wśród lokalnej społeczności – mojego własnego plemienia. Mam trzydzieści pięć lat, najwyższy czas, żeby zasłużyć na swoje imię i zacząć rodzić kolejne pokolenia wiedźm. Ciotki patrzyły na mnie coraz bardziej natarczywym wzrokiem, oczekując, że wreszcie spełnię swoje powinności i urodzę przynajmniej kilkoro dzieci.

Czarownice dłużej zachowywały młodość i płodność, ale nie można kusić losu. Każde z moich przyszłych dzieci miało swoją rolę do spełnienia, dlatego nadmiernego odsuwania momentu zamążpójścia nie odbierano pozytywnie. Tyle że było mi nie po drodze z dziećmi. Nie chciałam się wiązać z żadnym mężczyzną w naszej społeczności, znałam aż za dobrze wszystkie ich słabości i wady. Wychowywana wspólnie wśród potomstwa naszego rodu traktowałam ich bardziej jak braci niż kandydatów na męża. Żaden z nich nie wzbudzał we mnie romantycznych uczuć. Małżeństwo zaś zawierane bez miłości tylko po to, żeby urodzić dzieci, których i tak nie będę mogła przy sobie zatrzymać, stało się dla mnie przerażającą wizją. Ciotki oczywiście nie rozumiały mojego podejścia. Każda traktowała swojego partnera jak bank z drogocennym nasieniem, a nie czułego kochanka. Często mawiały: „Mamy cel przyświecający nam wszystkim. To pomaganie innym i roznoszenie naszego daru potrzebującym. Miłostki są dla zwykłych ludzi, a my jesteśmy wiedźmami”.

W końcu Rada Starszych zdecydowała. Równy rok muszę wybrać przyszłego męża i zacząć spełniać święty obowiązek czarownicy.

Dość czekania i kompromisów. Miałam rok, żeby pogodzić się z tą sytuacją. Drżałam na myśl, że nie uda mi się tego zrobić, ale jakie inne miałam wyjście?

DAWID

Właśnie dzwonił manager. Kolejny koncert ma się odbyć na Torwarze. Świetnie, trzeba się przygotować do trasy koncertowej promującej nowy album. Płyta już trafiła do sklepów, a kilkadziesiąt milionów odtworzeń na YouTube było zapowiedzią, że znów okryje się platiną.

Listopad. Buro za oknem. Ani to zima, ani to jesień. Kiedyś o tej porze rzucaliśmy się z dziećmiakami śnieżkami, a dziś śnieg tylko w górach, choć i tak nie zawsze. Tęskniłem za bielą za oknem, za wyścigami sankami z chłopakami, za szaleństwami na łyżwach. Nigdy nie mogliśmy usiedzieć na miejscu. Wzajemne towarzystwo musiało nam zastąpić nasze rodziny. Czy miałem pretensje do starych, że mnie zostawili? Oczywiście. Jak byłem dzieckiem, tęskniłem za nimi, naiwnie czekając, aż pewnego dnia zjawią się, wezmą mnie do siebie i już zawsze będziemy szczęśliwą rodziną jak z reklamy. Nikt nigdy nie przyszedł po mnie, a i mój urok osobisty nie zdał się tu na nic. Czarne oczy po włoskim ojcu odstraszały błękitnookich Słowian. Może jeszcze ten wiecznie zawzięty wyraz twarzy, jakbym od małego buntował się przeciwko całemu światu.

Matka zostawiła mnie w szpitalu zaraz po urodzeniu. Nie pasowałem do jej perfekcyjnego życia. Byłem zapewne żywym dowodem na burzliwy romans za granicą. W domu miała męża, dzieci, nie nadawałem się do jej świata. Mąż może wybaczył zdradę, ale obcego bachora już nie zaakceptował. Dał mi tyle czasu, żebym mógł się urodzić, kilka miesięcy w łonie i tyle. Moja matka ma czego żałować – miałaby syna, słynnego muzyka, powód do dumy i niedzielnych ploteczek. A może nie byłbym dziś tym, kim jestem, jeśli od samego początku nie musiałbym walczyć o przetrwanie.

Otrząsnąłem się z przykrych myśli. Kobiety już takie są, nie warto wracać myślami do tego, co kieruje ich egoistycznym zachowaniem. Nie są warte telefonu, uwagi czy łez. Teraz był mój czas. Mogłem się skupić na muzyce, fanach, koncertach, płytach, sławie i pieniądzach. Na wszystkim, o czym marzyłem całe swoje żałosne, poprzednie życie. Nagle zadzwonił telefon.

– Dawid, musisz przyjechać do studia – powiedział nasz agent. – Myślę nad wydaniem płyty koncertowej z nowej trasy. To będzie strzał w dziesiątkę. Potrzebuję twojej współpracy z fanami, wspólnego śpiewania itede, itepe. Dacie radę namówić swoich wielbicieli do większego czadu na koncertach?

– Kto jak nie my, szefie? – odparłem podekscytowany. – Dla ciebie wszystko!

Witek Nowacki to był dobry wybór. Młody, ambitny manager z pomysłami. Uwierzył w nas, kiedy pewnego słonecznego dnia przystanął na Krakowskim Przedmieściu, gdy dawaliśmy z siebie wszystko za drobniaki zbierane do kapelusza. Wyczuł nasz potencjał, dał szansę i wypromował w ekstremalnie krótkim czasie. Publika czekała na nasze pojawienie się, jakby wreszcie jakaś rockowa nisza została zapełniona.

W ciągu paru lat staliśmy się najbardziej popularnym zespołem w kraju, z ogromną szansą na karierę międzynarodową. Może wygrana przyszłorocznej Eurowizji otworzy nam szeroko drzwi na świat. To i tak była kwestia czasu. Nagrywaliśmy piosenki po polsku, angielsku oraz z szacunku do moich korzeni – po włosku. Część mnie wierzyła, że pewnego dnia ojciec rozpozna siebie we mnie i nawiąże ze mną kontakt. Marzenia ściętej głowy, ale kto mi zabroni.

Parę lat temu miałem silną potrzebę nauczyć się włoskiego, co okazało się świetnym pomysłem. Melodia tego języka trafiała wprost do mojej duszy, mój talent zadziwiał nauczycieli, a nawet rodowitych Włochów. Wiedziałem, że matka poznała ojca w Toskanii. Może był kelnerem w hotelu, barmanem albo właścicielem oliwnego gaju. Próbowałem sobie wyobrazić jego czarne oczy, które po nim

odziedziczyłem. Nie dostałem jego nazwiska, choć dałbym wszystko, żeby móc je nosić.

Ojciec musiał być przystojnym mężczyzną, widywałem jego twarz codziennie w lustrze. Pielęgniarki i położne, do których dotarłem, kiedy rozpocząłem poszukiwania moich rodziców, podzieliły się ze mną kilkoma bladymi wspomnieniami o matce. Podobno była piękna, wyniosła, o długich blond włosach i wyzywającym spojrzeniu. Dostałem imię po tym, który dał mi życie, wykrzywane w bólach porodowych wraz z przekleństwami: „Davide!”. Otrzymałem imię po nim, choć on najprawdopodobniej nawet nie wiedział o moim istnieniu. Całe moje dziedzictwo to parę wspomnień kilku osób ze szpitala Ujastek w Krakowie.

Czemu zawracałem sobie głowę przeszłością, na którą nie miałem żadnego wpływu? Mam sławę, pieniądze, rzeszę wielbicieli, tysiące chętnych kobiet, a płaczę jak dzieciak do mamy i taty. Żałosne.

Skierowałem myśli na przyjemniejsze tory. Już za dwa tygodnie pierwszy koncert po miesiącach nagrywania w zamkniętym studiu. Nie mogłem się doczekać Torwaru. Kochałem Kraków, moje miasto, ale sława wymaga poświęceń. Trzeba występować wszędzie, gdzie to możliwe. Może niedługo Paryż, Rzym, Los Angeles, Tokio. „Dawid” będzie skandowane we wszystkich językach świata. Tasmańskie Diabły rozsławiają Polskę w każdym zakątku uniwersum. Przyszłość to my. Przyszłość to ja.

KOSTROMA

Tasmanian Diavoli to moja słabość. Muszę przyznać, że gdyby nie ich muzyka, dawno poddałabym się przygnębieniu. Wprawdzie pomaganie ludziom daje wiele satysfakcji, ale nie zastąpi własnego szczęśliwego życia. Kiedy zamykałam oczy i słyszałam głos wokalisty, za każdym razem przechodziły mnie dreszcze. Jego czarne oczy patrzące na mnie z ekranu smartfona przyciągały jak magnes. Nic na to nie poradzę, to silniejsze ode mnie.

Ciotki śmiały się z mojego zauroczenia: pomału dobijam do czterdziestki, a uganiam się za dwudziestoletnimi „szarpidrutami”. Czyżby dopadł mnie wcześniejszy kryzys wieku średniego? Wiedźma kochająca rocka. Rzeczywiście brzmi zabawnie. Brakuje jeszcze czarnego kota, miotły i mogę lecieć na sabat czarownic. Ale kto nie ma swojej pięty Achillesa? Moja to gorący Dawid na scenie i jego kocia muzyka. Inne czarownice szydełkują. Nie mam zamiaru przejmować się uwagami ciotek i śmiechem Wery – mojej siostry. Wiem, że i ona do idealnych nie należy. Ale kochamy się nawzajem i akceptujemy. Myślę, że Wera może nawet podziwia mój upór i determinację w stawianiu na swoim. Nie wybrałam dla siebie popularnego wśród wiedźm zawodu: nie zostałam pielęgniarką, położną ani nawet nauczycielką w przedszkolu. Wolę być prawnikiem od spraw beznadziejnych. A także fanką rocka po godzinach. I tak w końcu pewnego dnia zostanę kolejną ciotką wychowującą nie swoje młode, jak przystało na odpowiedzialną czarownicę. Czemu przedtem nie mogę nacieszyć się życiem?

A może poszukać miłości poza obrębem klanu? Zakochać się, jak przystało na młodą jeszcze babkę, choćby na chwilę poczuć ten smak, zanim zastąpią go święte obowiązki i powinności wobec mojego gatunku. Mam rok, żeby jeszcze pożyć.

Jak na razie żaden z mężczyzn spotykanych w codziennym życiu nie zawrócił mi w głowie. Czarne oczy Dawida chyba będą musiały wystarczyć. Było ze mną gorzej, niż myślałam. Nie ma nic bardziej żalosego od wzdychania do gwiazdy estrady, która nawet nie wie o twoim istnieniu. Ale to nic. Puściłam kolejny utwór na YouTube. Nowy singiel, nowe dźwięki, ten sam cudowny głos. Nie trzeba mi nic więcej...

Z rozmarzenia wyrwał mnie głos siostry, która wparowała do biura jak zwykle bez pukania:

– Mam coś dla ciebie, wiedźmo!

Wera jak zawsze przechodziła od razu do sedna.

– Czego chcesz, pomioście szatana?

– Tak się witasz z siostrą? „Pomioście szatana”? Nie wstyd ci? – Siostra pogroziła mi palcem przed nosem, uśmiechając się zawadiacko.

– No jakoś nie, przepraszam. Myślałam, że lubisz, kiedy szczerze mówię o swoich uczuciach... – odpowiedziałam z miną niewiniątka.

– No tak, miłośniczka Diavoli. Szatan to nie Lucyfer z serialu, siostrzyczko. – Rozejrzała się pobieżnie po moim biurze, udając, że szuka czegoś ciekawego w opasłych kodeksach, które złowieszczo spoglądały z uginających się półek.

– Dobrze, już dobrze. Co za sprawa niecierpiąca zwłoki przygnała cię do mojego biura?

Nie przepadałam, gdy ktokolwiek zakłócał mi spokój w kancelarii, gdzie wałyły się prywatne akta moich klientów. Nawet siostrze nie dałabym do nich dostępu. Tajemnica adwokacka była dla mnie świętością.

– Roma, upolowałam dla nas bilety na koncert. Diabły Tasmańskie. A teraz powiedz, jak bardzo mnie kochasz...

Jej słowa sprawiły, że zapomniałam o bożym świecie.

– Mówisz poważnie?! – wykrzyknęłam. Nie udało mi się dostać biletów za rozsądną cenę i, chcąc nie chcąc, musiałam zrezygnować, a tu taka niespodzianka.

– Jak najbardziej. Odpędź smuteczki, piętnastego grudnia jedziemy na koncert na warszawski Torwar. Tylko my i rock’n’roll, *baby*! Już, przestań się mazać.

Idiotyczne, ale naprawdę się rozplakałam. Wera wiedziała, jak bardzo chciałam iść na koncert Diabłów. Ale bilety albo były nie do zdobycia, albo ich ceny przerażały. Większa część moich dochodów trafiała do kasy naszego zgromadzenia, a i tak zarobki w Poradni nie były zbyt wysokie. Szczerze mówiąc, nigdy nie narzekałam na zbyt ciężki portfel. Nie chciałam opuścić tego koncertu, zwłaszcza że mieszkaliśmy tak blisko Warszawy. Niestety, nie miałam wyjścia i musiałam się poddać. A tu Wera zdobyła bilety! Nie wiem, jak się jej to udało. Może wdzięczny pacjent... Nie miało to znaczenia. Kochałam

dziś siostrę bardziej niż kiedykolwiek! Płakałam w jej ramionach jak dziecko, bo ze szczęścia nie mogłam się opanować. To niewiarygodne, jak taka mała rzecz potrafiła wywrócić mój nastrój do góry nogami.

– Jedziemy na koncert szarpidrutów z Krakowa! Zobaczą tego boskiego pół-Włocha na własne oczy! Życie jest piękne! – krzyczałam tak jeszcze długo w zamkniętym biurze kancelarii.

DAWID

Dobór stroju na koncert to długie godziny przemysłów zarówno moich, chłopaków, jak i sztabu stylistów. Musi być prowokacyjny, ale jednocześnie seksowny. To ułkon w stronę żeńskiej części populacji, choć pewnie nie tylko. Image sceniczny jest ogromnie ważny do budowy wizerunku, który musi konsekwentnie współgrać z tym, co śpiewamy i dla jakiej publiczności. Poprawność polityczna była zabroniona, a każdy detal miał znaczenie. Często ubieraliśmy się podobnie, aby podkreślić zespołową jedność i harmonię.

Przeglądałem się w lustrze: sylwetka na medal, przyлизane czarne włosy, umalowane oczy. Co tu dużo ukrywać, jestem po prostu doskonały. To czemu nikt cię nie chciał w bidulu, smarkaczu? – głupia myśl przeszła mi przez głowę. Teraz każdy by mnie adoptował, czyż nie?

Szybka jazda, płaczące tłumy wielbicieli i lecimy na lotnisko. A tam znów błysk fleszy, fani i powrót do hotelu. Doprowadziłem się do porządku i dokończyłem przygotowania. Czas na Torwar. Mój pierwszy koncert po dłuższej przerwie. Tak bardzo tego potrzebowałem. Pełen adrenaliny zagrzewałem się jak przed meczem, wymieniając uściski z zespołem. Moimi ziomkami. Będziemy dawać czadu, trzeba rozgrzać tę zimną Warszawę. Kolejny raz na szczycie.

Wyszedłem na scenę. Był grudzień, więc chłód dawał się we znaki, ale to nie problem. Zaraz wszystkim będzie gorąco. Pot za chwilę zacznie mi ściekać między pośladki.

Wziąłem mikrofon do ręki i wrzeszczałem na całe gardło:

– Wasze diabły przyjechały do Warszawy! Chcecie posłuchać dobrej muzyki?

Słyszałem, jak tłum skanduje: „Taaaak! Kochamy cię, Dawid!”.

– Wedle życzenia, kochani. Dziś jako pierwszy wasz ulubiony kawałek z poprzedniej płyty: *Sztorm nadchodzi*.

Wystarczyło kilka chwil i tłum porwało szaleństwo. Zaśpiewałbym teraz *Bogurodnicę* i nikt nie byłby w stanie oderwać ode mnie wzroku, nikogo by to nawet nie zdziwiło. Szargałem już niejedną świętość na scenie. Rzuciłem między fanów bajecznie drogą kurtkę, niech ją rozerwą na strzępy. Za chwilę zaczniesz krążyć po internecie jak relikwia. Tak, bez wątpienia byłem dla nich bogiem. Stałem tu dla nich, a oni należeli do mnie. Tu i teraz. Przez żyły przepływały mi radość i spełnienie. Nic nie jest piękniejsze od tego uczucia.

Nagle poczułem coś dziwnego. Jakby tamto wrażenie się ulotniło. Na chwilę zostało zastąpione jakimś dziwnym... przyciąganiem? Nie mogłem się oprzeć, musiałem podejść bliżej. Wiercenie w głowie się wzmogło. Potrzeba, żeby zbliżyć się do drugiego końca sceny, była jak magnes. Coś było nie tak. Ale pchnięty ciekawością albo przyciąganiem kierowałem się w kierunku jego źródła. Darłem się na całe gardło, pot zalewał mi czoło, a jednak poszedłem wiedziony tajemniczym instynktem.

I nagle stanąłem jak wryty. Wśród tłumu zobaczyłem zielone oczy wpatrzone we mnie z niespotykaną intensywnością. Wokół twarzy falowały pukle czerwonych włosów, jakby każdy z nich stanowił odrębne stworzenie. Świat się zatrzymał. Patrzyłem na to niezemskie zjawisko jak urzeczoną. Śpiewałem, ale już nie pamiętam, czy miało to jakikolwiek sens. Czułem, jak ziemia trzęsła się pod moimi stopami, może to tysiące tańczących ludzi, a może świat zaczynał się rozpadać. Te ogromne zielone oczy... jakbym się w nich topił.

Krystian złapał mnie za ramię i pociągnął na drugi koniec sceny. Wszystko zniknęło i znów mogłem być sobą. Ponownie wyłem do



[Kup książkę](#)

mikrofonu, na nowo porwały mnie muzyka i szaleństwo. Piosenka za piosenką, taniec, prowokowanie tłumu do współpracy ze mną. Stałiśmy się jednym ciałem: ja, zespół, scena i tysiące ludzi śpiewających wraz z nami. Jedno wielkie bijące muzyką serce.

Oczy zielone jak szmaragd. Wkrótce zapomnę. Na pewno.

KOSTROMA

Czy można określić koncert Tasmańskich Diabłów jednym zdaniem? Czy wystarczy dziesięć? Nie byłabym w stanie rzetelnie opisać emocji, bo ich spektrum odbierało mi dech na każde wspomnienie.

Przyszedeł w końcu taki moment, kiedy osiągnęłam zenit wszystkich wrażeń. Nie mogąc się powstrzymać, uległam pierwotnemu instynktowi. Musiałam przywołać wokalistę, choć na chwilę wejść mu do głowy, na kilka sekund wejrzeć w te czarne oczy i się w nich zatopić. Na co w końcu dane jest mi być wiedźmą, jeśli nie dla kilku takich chwil egoistycznej przyjemności?

Przyciągnęłam go całą siłą woli, pomimo tłumów i zgiewku pchałam go do siebie. Opierał się, nie rozumiejąc, co się dzieje. Próbował coś śpiewać, ale nie współgrało to z muzyką. Gdy spojrzał na mnie, przepadł. Widziałam, jak stał się bezradny wobec mojej siły, a ja poczułam, jak ziemia osuwa mi się spod nóg. Miałam wrażenie, że prąd całego miasta połączył nasze spojrzenia. A może to kosmos właśnie eksplodował?

Kolana ugięły się pode mną, płuca zapomniały oddychać, a krew krążyć w żyłach. Starałam się sobie wytłumaczyć to, że skoro jestem zbudowana z magii, nie ma się co dziwić, że ziemia zadrżała na moje życzenie. Ale czy rzeczywiście tak było, że to ja wywołałam tę lawinę wrażeń? Nie miałam pewności. Im głębiej to analizowałam, tym bardziej uświadomiłam sobie, że było to coś innego, niezależnego od mojej woli. Nigdy nie czułam się podobnie, choć trwało to zbyt krótko. Nic nie trwa wiecznie, a świat musi toczyć się swoim utartym rytmem.



[Kup książkę](#)

Po powrocie z Warszawy położyłam się zmęczona na kanapie w moim domku na obrzeżach naszej wioski. Budynek był mały, a ja dzieliłam go jeszcze z innymi siostrami. Raz na kilkanaście lat klan zmieniał miejsce naszego zamieszkania, przenosiliśmy się, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Ale te bagna stały się naszym domem na wiele lat. Czuliśmy się tu wreszcie jak u siebie i nie zamierzaliśmy w najbliższym czasie się wyprowadzać.

Tu też poznałam Ludisa. Kochałam go jak ojca. Kiedy jako dwunastolatka wtargnęłam na jego teren i wyrwałam z letargu, nie był szczęśliwy. Przeganiał mnie miesiącami, a ja, jak nieustępliwy natręt, przychodziłam nieproszona. Potrzebowałam go, a i on – do końca nie zdając sobie z tego sprawy – potrzebował mnie. W końcu przywykł do moich cotygodniowych wizyt i wbrew sobie zaczął ich wyczekiwać. Stary wampir i młodzianka wiedźma. Duet jakich mało.

Ludis wybudował chatkę na mokradłach, z dala od zabudowań, żeby ludzka krew go nie nęciła. Nie chciał już jej, postanowił zaprzeczyć swojemu jestestwu i wyrzec się pragnienia. Ponieważ nie mógł sam się unicestwić, wybrał życie pustelnika. Brak krwi powodował, że demon, który uczynił go wampirem, suszył się i kurczył – potrzebował krwi człowieka do tego, żeby żyć. A Ludis chciał go w sobie zagłodzić na śmierć. Demon nie poddawał się, czyniąc życie Ludisa trudnym do zniesienia i każdego dnia pozbawiając mężczyznę sił. Wbrew jednak jego życzeniu nieumarły wiedział, że ta istota nigdy w nim nie umrze. Tylko wiedźma albo inny wampir mogli pozbawić go życia.

Pewnego dnia, kiedy moje wizyty stały się regularne, poprosił, żebym skróciła jego cierpienia. Nie chciałam o tym słyszeć, choć żał mi było starego przyjaciela. Wiedziałam, że pozwalając mu żyć, pogłębiam jego smutek i beznadzieję, ale z przyczyn egoistycznych nie potrafiłam tego zrobić. I tak spotykaliśmy się regularnie jak para niespełnionych kochanków. Dawaliśmy sobie chwile zapomnienia. Ludis opowiadał mi o swoim ponad trzystuletnim życiu, o pragnieniu krwi

i odwiecznej walce z samym sobą. Mówił o wydarzeniach i osobach, które go ukształtowały, o wampirach, które spotykał na swojej drodze, a także o kobiecie, którą kochał i która umarła w jego ramionach, gdy skończył się jej czas. Mówił o tęsknocie za najbliższymi, których stracił, o życiu, kiedy ich już nie było na świecie, o cierpieniu i samotności. I wreszcie o decyzji zamieszkania tu, z dala od wszystkich, i odejściu w zapomnienie.

– Czemu nie przemieniłeś swojej żony? – zapytałam kiedyś.

– To nie jest życie dla kobiety. Nigdy nie móc być matką albo pochować własne dziecko. Nie chciałem, by musiała przez to przechodzić. Ona była piękna, żywa, rumiana, a nie blada, bez życia, z zębami i pazurami jak u dzikiego zwierzęcia. Nie zrobiłbym tego żadnej kobiecie, nigdy! Niech ci nie przyjdzie do głowy prosić mnie o to! – krzyknął oburzony.

– Nie bój się, Ludis. Moje życie to życie więdźmy. – Starałam się go delikatnie uspokoić. Niepokojące było to, że ostatnimi czasy de nerwował się byle błahostką. – Zresztą moja krew nigdy nie przyjmie krwi demona, transfuzja by mnie zabiła. Nie słyszałam jeszcze o żadnej kobiecie, która została z sukcesem przemieniona. Jesteśmy, wydaje mi się, naturalnie odporne na wampiryzm.

– Na szczęście dla ciebie, moja droga. Twoje przeznaczenie to rodzić małe więdźmy i być dla nich matką. Będziesz na pewno wspaniała! Mną, starym, opiekujesz się jak małym dzieckiem...

Ludis miał ponad trzysta lat, ale wyglądał znacznie młodziej. Wampiry starzały się wolniej. Ich linia życia przebiegała inaczej, nigdy do końca nie było wiadomo, czy są nieśmiertelne, czy ich czas się kończył samoistnie. Wampiry najczęściej ginęły w bratobójczych walkach albo z rąk więdźm. Nie słyszałam wcześniej o takim, który by żył tak długo jak Ludis.

Jedynym jego marzeniem było pozostawienie po sobie spuścizny dla innego nieumarłego, który pozna wszystkie długo skrywane sekrety i odkrycia i posiadać tę ogromną, przez lata gromadzoną wiedzę. Takiego,

który będzie kontynuował dzieło starego krwiopijcy. Ludis chciał, żeby wampiry obywateli się bez ludzkiej krwi, żeby demon w ich żyłach nie mógł już ich do tego zmuszać. Chciał znaleźć lek, który sprawi, że wystarczy im krew zwierząt, sztuczna krew lub inna substancja. Ciągłe prowadził w swoim laboratorium różne eksperymenty, ale odpowiedź w dalszym ciągu pozostawała nieodkryta. Mądrość zaczerpnięta z tych niepowodzeń też stanowiła cenne źródło wiedzy. Znalezienie następcy powstrzymywało Ludisa przed samozniszczeniem. Zależało mu na tym, by był to ktoś, kto jest wart otrzymania tak cennego dziedzictwa.

Pewnego dnia zadałam mu pytanie:

– Jak masz zamiar znaleźć godnego następcę, siedząc tu, na pustkowiu, gdzie nikt o zdrowych zmysłach nie zagląda?

– Nie wiem, ale wierzę, że pewnego dnia to się wydarzy. Wtedy ty zakończysz moje życie i zaopiekujesz się moim spadkobiercą. Musisz mi to obiecać. – Spojrzał mi głęboko w oczy, próżno szukając potwierdzenia.

– Daj spokój, Ludis. Choćbyś bardzo chciał, nigdy cię nie skrzywdzę. Za bardzo cię kocham. – Poglaskałam go czule po pomarszczonej ręce.

– Mam nadzieję, że kiedyś to zrobisz. – Z rezygnacją odwrócił się do mnie plecami, wyrывая z urazą dłoni.

I tak bez końca. Ale nie przejmowałam się tym. Będąc tu, na odludziu, nie miał praktycznie żadnych szans na spotkanie swojego następcy. Zresztą bez wiedzy Ludisa uczyniłam wokół kilka nieszkodliwych uroków, które odstraszały potencjalnych poszukiwaczy przygód od zapuszczania się w to odosobnione miejsce. Tak na wszelki wypadek.

Ludis się jednak nie poddawał. Pisał swoją książkę jak natchniony. Miała być instrukcją dla mnie, jak postępować z młodym wampirem, jak przez rok przygotować go do dorosłego życia. Śmiałam się z tego w duchu, ale jeśli dawało mu to ulgę albo nadzieję, niech pisze do woli. Wytyczne dla wiedzy, jak wychować krwiopijcę. Dobrze sobie. Stary, biedny Ludis. Ciotki złapałyby się za głowę.

Czarownice nienawidziły wampirów, bo to jedne z nielicznych stworzeń, które mogły je zabić. Lecz Ludis był inny. Miał w sobie

dużo serca, miłości i dobroci. Dlatego ciotki pozwalały mi go odwiedzać. Wiedziały, że potrzebujemy siebie nawzajem, jednocześnie czując, że nasza przyjaźń jest ważna. Tyle że nie miały pojęcia dlaczego – właściwie ja też nie zdawałam sobie z tego sprawy. Odwieczna walka wampirów i wiedźm była oczywista, ale miłość? To coś zupełnie nie z tego świata. Ta relacja mogła dać nowy początek zmianom, z których wagi żadna z nas nie zdawała sobie jeszcze sprawy. Co wyniknie z tej naszej przyjaźni, któż to wie?

ROZDZIAŁ 2

UPADEK

DAWID

Po koncercie zdecydowaliśmy się z chłopakami na kilkudniowy pobyt w Warszawie. Stolica miała wiele do zaoferowania młodym, złaknionym rozrywek gwiazdom rocka. Alkohol lał się strumieniami, laski same pchały się do łóżka. Imprezy, kluby, nocne wyprawy i koka sprawiały, że żyło się podwójnie. Byłem wstawiony albo naćpany praktycznie bez przerwy.

W końcu musiałem się doprowadzić do ładu i wracać do Krakowa. Przygotować do kolejnego koncertu, popracować nad formą. Ale jeszcze na koniec miałem dla chłopaków niespodziankę. Wynająłem tor wyścigowy na Słomczynie. Pobawimy się zabawkami z zawrotną prędkością. Będę też mógł moim czerwonym diabłem przejechać się wreszcie na pełnych obrotach. To nieważne, że poziom alkoholu w mojej krwi jeszcze się nie obniżył. Czułem się nakręcony jak nigdy.

Zabrałem porszaka, żebyśmy dojechali do Słomczyna. Chłopaki entuzjastycznie zareagowali, choć Krystian patrzył na mnie podejrzliwie.

– Zapinajcie pasy, bo będzie trzęsło! – zawołałem.

– Czy ty powinieneś prowadzić? – zapytał sceptycznie Krystian.

– Daj mu spokój! – krzyknął Bartek. – To nasza ostatnia noc w Warszawie. Pokaż, Dawid, na co cię stać!

Emocje na torze jeszcze bardziej podkręciły atmosferę. Miałem wrażenie, że wznoszę się na wyżyny moich kaskaderskich możliwości.

Pewnie kreska w toalecie wpłynęła na mój szampański nastrój i adrenalinę płynącą w żyłach.

Podczas powrotu do miasta nie umiałem wyhamować, pędziłem na złamanie karku, łamiąc wszelkie ograniczenia prędkości. Kilometry stawały się metrami. Czułem, jak powietrze rozszerza mi płuca, a tlen rozchodzi się z prędkością światła po moim krwiobiegu. Gnałem coraz szybciej, lasy i mijane wioski zlewały się w wielką plamę za szybą. Nie liczył się czas, tylko ta przerażająco zawrotna prędkość.

A potem straszny krzyk, który nawet umarłego postawiłby na baczność. Przerażony głos Stefana przebił się przez głośną muzykę.

– Uważaj!!! Jeleń!

Ogłuszający huk porwał wszystkie inne dźwięki. Świat rozpadł się na tysiące kawałków. Zamknąłem oczy i zobaczyłem ciemność.

Zgrzyt metalu. Krew. Otchłań.



Obudziłem się przemoknięty. Deszcz padał na moje poobijane ciało. Zimno, tak bardzo było mi zimno. Bolało, coś rozrywało mnie od środka, nie czułem nóg, ciepła ciecz spływała mi po twarzy. Nie mogłem otworzyć oczu. Ogromnie się bałem, a strach wrzynał się w mój mózg jak szpony diabła. W końcu uniosłem ciężkie powieki, ale nic nie potrafiłem zobaczyć. Słyszałem tylko jęki moich przyjaciół. A może to ja jęczałem? Znow straciłem przytomność.

Minęła doba, może dwie, sam już nie wiedziałem. Budził mnie ból i zasypiałem w bólu. Nic więcej się nie liczyło. Tonąłem w płomieniach cierpienia. Nie słyszałem już moich bliskich. Nie słyszałem niczego. Ani odgłosów przejeżdżających aut, ani syreny karetki. Nie istniało już nic, byłem zdany tylko na siebie. To koniec. Umierałem.

Migawka świadomości. Usłyszałem: „mój Boże”. Pierwszy głos silny i donośny, drugi piskliwy i spanikowany przekrzykiwały się nawzajem. Czemu się kłóć? Niech mnie ratują, do cholery!

Nagle poczułem, jak ktoś wyciąga mnie z samochodu. Ból był nie do zniesienia. Miałem zmiążdżone nogi, a kiedy próbowałem zaczerpnąć tchu, żebra wbijały mi się w płuca. Cierpienie rozsadzało mi głowę niczym granat. Błagałem, aby to się wreszcie skończyło.

Delikatne dłonie dotykały mojego rozpalonego czoła. Zimny kompres nie łagodził tortur. Wołałem, ale nikt mnie nie słyszał. Nie rozpoznawałem, czy to sen, czy jawa. Chciałem obudzić się w przyjemnie chłodnej pościeli. Ta była gorąca, paliła moją skórę. Czułem, że nie mam już więcej siły. Szeptalem, że chcę umrzeć, że nie zniosę tego potwornego bólu. W oddali słyszałem płacz. Ktoś mnie podniósł i zaniósł w inne miejsce. Sądziłem, że już nie może boleć bardziej. Myliłem się. Zostawcie mnie, proszę.

Słyszałem wyraźnie dwa głosy: mężczyzny i kobiety. Nie mogłem otworzyć oczu. Fizyczne bodźce wypalały mi czaszkę. Mężczyzna był zdenerwowany, a kobieta roztrzęsiona. Słyszałem, jak go błaga, przekonuje, nawołuje, ale on tylko milczał. Potem znów nastała ciemność.

Ostatnie, co czułem, to wkłucie igły. Oby to było coś przeciwbólowego! Ku mojej rozpaczcy cierpienie się wzmogło. Tym razem miałem wrażenie, że przez moje żyły przechodzi ogień. To koniec. Śmierć powitałem z radością.

KOSTROMA

Martwiłam się o Ludisa. Ostatnio nie było z nim najlepiej. Niechętnie wychodził ze swojego legowiska, jak niedźwiedź chował się w swojej jaskini. Nie chciał ze mną rozmawiać.

Dziś kolejny raz go odwiedziłam, lecz nawet nie miał zamiaru do mnie wyjść. Przełknęłam ponure uczucie goryczy. Jego zachowanie i mnie dawało się we znaki. Potrzebowałam jego towarzystwa, pomimo że tak bardzo mnie od siebie odsuwał.

– Ludis, błagam cię, wyjdź choć na chwilę. Zobacz, co dla ciebie przywiozłam z Warszawy. Nie każ się prosić – wołałam zrozpaczona.

– Zostaw mnie dziś, Roma. Nie mam nastroju na rozmowę – odpowiedział zmęczonym głosem.

– Nie było mnie cały tydzień, mam ci tyle do powiedzenia. Nie daj się prosić... – nalegałam, choć wiedziałam, że to bezcelowe.

– Nic z tego, młoda damo. Dziś muszę być sam. Nie mam siły na te twoje bezsensowne ekscytacje. Jestem zmęczony. Zrozum, błagam cię.

Odpuściłam, zdając sobie sprawę ze smutkiem, że i dziś go nie zobaczę. Nie wiem, kiedy następnym razem będzie w lepszym nastroju. Chciałabym mu opowiedzieć o koncercie, ale wiedziałam, że nie zrozumiałby moich emocji. Dla niego to inny świat. Muzyka w jego czasach brzmiała zupełnie inaczej. Ta, którą kocham, nigdy do niego nie przemówi. A moje dziecinne zadurzenie w tym chudym skórzanym monstrum na scenie, które zamiast śpiewać, głośno krzyczy, wprowadziłoby go tylko w zażenowanie. Sama czułam się śmiesznie, podkochując się w dwudziestolatku jak gimnazjalistka. Udawałam, że moja młodość jeszcze nie minęła, a świat tylko czeka, aż rozkwitnę jak kwiat, spełniając swoje przemożne pragnienie miłości. Jakie to przygnębiająco żałosne.

– Ludis, daję ci ostatnią szansę – rzuciłam na pożegnanie.

– Idź już, dziecko – usłyszałam na odchodne.

Z Ludisem działo się coś bardzo złego. Pisał swoje notatki jak natchniony, a jego depresyjne nastroje praktycznie się nie kończyły. Przestał zwracać na mnie uwagę. Martwiłam się, że nie zdołam go powstrzymać. Rozzłości jakąś wiedźmę, rzuci się na nią, a ona wysuszy go w podzięce. I mój jedyny przyjaciel zniknie, a ja znów zostanę sama.



Ludis zadzwonił do mnie w środku nocy. Był zdenerwowany, słyszałam to w jego głosie. Poprosił, żebym do niego przyjechała. Ubrałam się i czym prędzej zjawiłam się u niego.

– Kostroma, nie dam już rady, dziecko. Wszystko, co ważne, zapisałam. Dom jest twój. Nikt nie dostanie mojego daru, nie potrafię nikogo

wybrać. Ty szukaj za mnie. Pewnego dnia uda ci się pokonać tego cholernego demona, wierzę w to głęboko. Roma, jesteś moją jedyną nadzieją.

Spojrzał na mnie z przerażającą determinacją.

– Ludis, błagam cię, nie żegnaj się ze mną w ten sposób. Nie dam sobie rady bez ciebie. Kocham cię, rozumiesz?

Moje żałosne łkania nie skruszyły jego, tak obco zimnego dziś serca.

– Jeśli mnie kochasz, to zakończ moje cierpienie. Inaczej więcej się tu nie pojawiaj. Zrozum, nie chcę już tak dalej żyć. Tyle lat poszukiwań, tyle nadziei, wszystko na próżno! Nie pokonałem demona, nie znalazłem nikogo na moje miejsce. Wszystko, czego pragnąłem, obróciło się wniwecz! Nie rozumiesz?! Nie wymyślę już nic nowego. A życie z piętnem zabójcy z roku na rok staje się cięższe. Odczuwam moje lata coraz boleśniej z każdym dniem i nie mam ani siły, ani motywacji, żeby dalej walczyć. Uszanuj i zaakceptuj mój wybór.

Każde jego słowo raniło moją udręczoną duszę jak sztylet. Nie miałam zamiaru przyjmować tego do wiadomości i próbowałam przekonać go do zmiany decyzji.

– Potrzebujesz mojej krwi. Dam ci jej trochę, poczujesz się lepiej. – Złapałam się ostatniego promyka nadziei.

– Ani się waż! Nigdy nie proponuj wampirowi, żeby się z ciebie napił. Rozumiesz? Nigdy! Nawet ja nie powstrzymam się, żeby cię nie wyssać do końca, a wiesz, że mam doświadczenie w hamowaniu pragnienia.

Jego pełne gniewu słowa zabrały mi resztki nadziei na to, że odwiodę go od tej rozpaczliwej decyzji.

– Ludis, pomogę ci we wszystkim, obiecuję. Będziemy wspólnie pracować nad lekarstwem, znajdziemy razem twojego następcę. Wszystkiego go nauczysz i będziecie wspólnie kontynuować poszukiwania remedium na demona. Nie poddawaj się, zaklinam cię! – krzyczałam bezskutecznie.

Na nic jednak się zdały moje próby przemówienia mu do rozsądku. Odrzucił brutalnie moją rękę, kiedy chciałam dać mu trochę krwi. Jej

brak sprawiał, że demon w jego żyłach wariował, a stary wampir nie potrafił już racjonalnie myśleć.

Wróciłam zrezygnowana do domu. Ludis postanowił przygotować fiolkę ze swoją krwią i schować w przygotowanej do tego specjalnej lodówce. Wymógł na mnie obietnicę, że pewnego dnia ją wykorzystam. Nie miałam zamiaru tego robić, ale dla świętego spokoju mu to obiecałam. Było mi żal ukochanego przyjaciela, lecz jego rozpacz i mnie czyniła bezsilną.

Nagle, wstając z kanapy, poczułam coś dziwnego, jakbym dostała obuchem w głowę. Upadłam i straciłam przytomność. Ale nie na długo. Kiedy znów otworzyłam oczy, zobaczyłam rozbity samochód. Wokół mnóstwo szkła. Na poboczu leżał martwy jeleni. Szłam w jego kierunku, choć przecież mnie tam nie było. Znalazłam się w dwóch światach jednocześnie: w moim pokoju i przy wraku auta. Podeszłam bliżej i usłyszałam jęki i nawoływania. Obraz znów się rozmył, a ja ponownie odpląnąłam w ciemność.



Obudziłam się nad ranem. Wychodzi na to, że leżałam całą noc na podłodze. Która to godzina? Co się wczoraj wydarzyło? Myśli jak szalone gnały w mojej głowie. Ludis, biedny Ludis.

Nagle wspomnienie chwyciło mnie za gardło. Samochód, szkło, jeleni, krzyki. Co to było? Wzięłam się w garść. To pewnie zły sen. To przez Ludisa stałam się kłębkim nerwów.

W drodze do pracy zadzwoniłam do Wery.

– Masz ochotę na wyjazd do miasta? – zaproponowałam, aby chociaż na chwilę zapomnieć o wydarzeniach poprzedniej doby. – Babski dzień w galeriach handlowych – dodałam. Musiałam odpocząć, bo ostatnio nie byłam sobą.

– No jasne, Roma! – odpowiedziała entuzjastycznie. Zawsze tak reagowała, gdy wspominałam o zakupach. – Jesteś mi winna jakąś

wyjątkowo drogą kieckę, ale nie bój żaby, zadowolę się parą pięknych szpileczek.

– Nie masz już dość butów, szkarado? – Nie wiedziałam dlaczego, ale jej głos sprawiał, że ponure myśli na chwilę udało się rozprościć.

– Ropuszko, żadna kobieta nie ma dość butów! Nigdy o tym nie zapominaj – zaszczebiotała wesoło.

Wera była moją siostrą, przyjaciółką, powierniczką i współlokatorką. Nie ma mowy o biologicznej więzi, ale wychowywałyśmy się wspólnie, więc nie miało to dla nas znaczenia.

W klanie wszystkie dziewczęta i chłopcy do pełnoletności trzymają się razem. Jak jedna wielka szczęśliwa rodzina. Nie ma matek ani ojców, są tylko ciotki. Ponadto w osadzie są wiedźmy, które rządzą nami wszystkimi. To najczęściej stare, doświadczone i wszystkowiedzące czarownice tworzące Radę Starszych. Rada zawsze ma rację, ale jej decyzje nie zawsze są przyjemne. Wynika to z tego, że wiążą się one z naszymi zobowiązaniami, w tym najważniejszym, jakim jest płodzenie potomstwa. Obowiązek święty jak matka ziemia. Do cholery z tym!

Wera była postrzelona tak jak ja. Nie chciała się podporządkować tym odwiecznym regułom zamążpójścia i rodzenia. Dzieci miała już dość w miejscu pracy. Pracowała w szpitalu jako położna, a każdy noworodek, którego przyjmowała na świat, dostawał od niej dar światła. Maluchy urodzone przy jej pomocy były zawsze pogodne i uśmiechnięte, a swoim optymizmem zarażały innych. Sama Wera była światłem dla osób, które się do niej zbliżyły. Ale i na nią przyjdzie kiedyś czas. Weźmie sobie za męża któregoś z naszych braci i będzie rodzić małe, puszyste bobasy. Choć jeszcze nie teraz. Dziś musi kupić nowe szpilki.

Kiedy Wera wsiadła do samochodu, znów przed moimi oczami pojawił się martwy jelen. Tym razem złe przeczucie nie chciało mnie opuścić. Włączyłam radio, żeby poprawić sobie nastrój, lecz zamiast muzyki usłyszałam głos spikera: „Wczoraj wieczorem zaginęła grupa muzyków z popularnego zespołu rockowego Tasmanian Diavoli.

Ostatnio widziano ich na torze wyścigowym w Słomczynie. Ktokolwiek mijał czerwone porsche o numerach rejestracyjnych...”.

I wtedy wszystko stało się jasne. Wiedziałam już, co się wydarzyło.

– Wera! – krzyknęłam. – Pomożesz mi?!



Jechałyśmy z zawrotną prędkością stu kilometrów na godzinę. Tak, to dla mnie szalone tempo, zwłaszcza że byłam tak przejęta, że nie mogłam skoncentrować się na prowadzeniu auta. Przed oczami miałam jedynie martwego jelenia. I krew. A potem wokalistę zespołu. Nie widziałam już nic poza jego twarzą wykrzywioną cierpieniem.

– Gdzie jedziemy, Roma? Co ty wyprawiasz? Jesteś okropnie błada! Postradałaś rozum?! Słyszysz, co do ciebie mówię? Roma! – krzyczała Wera, która próbowała doprowadzić mnie do porządku.

– Jedziemy ich szukać! – warknęłam, po czym próbowałam skupić się na drodze.

– Co? Kogo? O czym ty mówisz?

– Wiem, gdzie oni są. Tasmańskie Diabły – wydukałam w końcu, nerwowo stukając palcami w kierownicę.

– Co ty mówisz?! Przerażasz mnie!

Dostrzegłam jej lęk, jednak nie miałam czasu się nim przejmować. Przyspieszyłam gwałtownie. Skręciłam w jakąś boczną drogę. Zajęło mi wieczność, zanim poczułam znajome mrowienie. Jeleń i jego smutne oczy. Dawid.

Dopaadłam do rozbitego samochodu. Słyszałam, jak Wera wydierała się albo dla odmiany piszczała z przerażenia. Złapałam ją za ramię.

– Uspokój się – powiedziałam stanowczym głosem. – Trzeba im pomóc, rozumiesz? Dzwon po pogotowie! Teraz, Wera!

Nie było zasięgu, nawet jedna kreska nie pojawiła się na ekranie. Cholera! Podeszłam do każdego z nich. Krystian nie żył od kilku godzin. Bartek był jeszcze ciepły, ale wiedziałam, że życia wystarczy mu

na dwie, góra trzy minuty. Stefan prawdopodobnie zginął jako pierwszy, był zimny jak kamień. Bałam się podejść do Dawida. Zadrżałam, kiedy dotknęłam jego dłoni. Słaby, ale regularny puls. Jeszcze była nadzieja. Nikła, ale jednak.

– Nie mogę się dodzwonić, Roma! – panikowała siostra.

– Jedziemy do wioski! – zakomunikowałam. – Ciotki mu pomogą.

– Co?! Ciotki?! Zwariowałaś?! Musimy natychmiast zawieźć go do szpitala!

Wera jak szalona obracała się wokół własnej osi.

– Za daleko. Nie przeżyje.

– Skąd wiesz? Nie możesz tego wiedzieć!

– Po prostu wiem, Wera, zaufaj mi. Jedziemy do domu.

Ciotki już wyczuły, że wracamy z dodatkowym pasażerem. Nie były zadowolone, rozumiałam ich zdenerwowanie każdym skrawkiem ciała. Żaden niemagiczny nie przekroczył dotychczas progu naszych domostw.

Nie chciały go tutaj, a jednak wiedziały, że nie miałyśmy innego wyjścia. Tylko że on umierał, a one nic nie mogły na to poradzić. Ciotki rozłożyły ręce z bezradnym wyrazem na twarzach. Maści, uroki ani żadne znane nam czary nie pomogą przywrócić go do życia. Gorączka rozpalala mu ciało, wdała się infekcja. Zbyt długo leżał nieprzytomny. Czemu nie poczułam tego wcześniej?! To moja wina! Przekonanie o porażce zżerało mnie od środka. Co robić? Czy nic już nie mogę dla niego uczynić? Nagle myśl, jak długo wyczekiwany gość, zalała mi umysł. Ludis!



Kiedy podniosłam Dawida, jęczał. Uniósł na chwilę powieki. Błagał mnie bezgłośnie. „Zostaw mnie, puść, boli” – wołały jego oczy.

– Wiem, biedaku, wiem, ale nie ma innego wyjścia. Muszę cię stąd zabrać – szeptałam.

Będąc na tylnym siedzeniu, położyłam kompres na jego gorące czoło. Wera prowadziła samochód. Było ciemno, księżyc nieśmiało

wychylił się zza chmur. W oddali słyszałam odgłosy fajerwerków. Sylwester. Czy to możliwe, że gdzieś tam bawią się ludzie, wyznają sobie miłość, tańczą, kochają się, a komuś właśnie kończy się świat? Być może za chwilę umrze osoba, która nawet nie wie o tym, jak bardzo była mi bliska. Za chwilę, ale nie teraz. Jeszcze nie.

Wera zatrzymała samochód. Ze wstrętem odwróciła się do mnie i wyszczała:

– To jest nieludzkie, rozumiesz? Nie poznaję cię, Roma! Zabierz go z samochodu i więcej nie wracaj! To, co masz zamiar zrobić, potępią każda z nas. Lepiej dla niego jest umrzeć, niż żyć jak on. – Spojrzała z pogardą na chatę Ludisa.

Odjechała z piskiem opon, a mi w głowie jeszcze długo szumiały okrutne słowa mojej ukochanej siostry. Byłam dla niej martwa. Nie musiała mi tego mówić na głos.

Ale to nic. Musiałam dać radę. Krzyczałam, ile sił w płucach:

– Ludis, otwórz mi drzwi! Natychmiast! – wołałam omdlała z bólu. Ciało Dawida było tak bardzo ciężkie. Stary wampir nie chciał otworzyć. Całą wieczność trwało, zanim usłyszałam szczęk zamka w drzwiach.

– Co ty tu robisz, Kostroma? Jest środek nocy!

Nagle jego wzrok padł na ciało, które trzymałam na rękach. Jakim cudem byłam w stanie jeszcze go nieść? Nie miałam pojęcia. Ręce odmówiły mi posłuszeństwa, a nieprzytomny mężczyzna upadł prosto w ramiona Ludisa.



Dawid nie miał dużo czasu. Czułam każdą cząstką siebie, że to kwestia kilkunastu minut. Obrażenia miał zbyt poważne. Już nawet nie czuł bólu, odpłynął w niebyt. Każdy organ powoli przestawał funkcjonować. Na próżno, wszystko na nic.

Plakałam. Jak to się mogło stać? Ale jeszcze nie straciłam ostatniego: nadziei.

– Ludis, potrzebuję fiołki twojej krwi! Muszę uratować tego człowieka – krzyknęłam głosem oszalałym z niepokoju.

– On? Wybrałaś go? Dlaczego? Jest dla ciebie ważny? Kto to jest, moje dziecko?

Wampir zasypywał mnie pytaniami, które wypełnione były bólem. Przebijała się przez nie ciekawość. Może uda mi się go przekonać. Może.

– Miałam PRZECZUCIE, Ludis. Jechałam przez las i poczułam to. Że to on, że właśnie on się nadaje. Że jest ciebie godny. Rozumiesz, co do ciebie mówię? To było silniejsze od rozsądku. Musiałam go tu przyprowadzić. Po prostu wiedziałam. On jest tym jedynym, twoim spadkobiercą!

Wiedziałam, że wyrze to na nim ogromne wrażenie. To nasze słynne PRZECZUCIE. Ważniejsze niż cokolwiek innego. PRZECZUCIE to pierwotna magia. Istota naszej czarodziejskiej egzystencji. Ludis wiedział, że nie można się mu oprzeć. Wiedźma wtedy nigdy się nie myli. Kiedy ogarnia ją to uczucie, nie wolno się sprzeciwiać. Wampir nie musiał wiedzieć, że nic z tego nie miało miejsca. Że chciałam ratować to biedne umierające stworzenie tylko dlatego, że durzyłam się w nim jak nastolatka. Że zrobiłabym dosłownie wszystko, żeby zwrócić mu życie. Tego Ludis nigdy się nie dowie.

– Rozumiem, dziecko, że ten człowiek jest dla ciebie ważny, jeśli przyprowadziłaś go do mnie. Ale muszę ci odmówić, chyba że... spełnisz moją prośbę. – Spojrzał mi głęboko w oczy, na próżno szukając zrozumienia.

– O czym ty mówisz, Ludis! On umiera, a ty się ze mną targujesz? Po prostu nie wierzę w to, co słyszę! – krzyczałam, lecz jego postawa była niewzruszona. Domyślałam się, czego ode mnie chce, ale jednocześnie to do mnie nie docierało.

– Dam ci moją krew, ale pod warunkiem, że jeszcze dziś pozbawisz mnie życia.

Tym okrutnym zdaniem przeciął wszelkie niedopowiedzenia, które usilnie chciałam skonstruować w głowie.

– Ludis, nie rób mi tego, zaklinam cię. On za chwilę będzie martwy. Kiedy go przemienisz, porozmawiamy na spokojnie. Proszę cię, na miłość boską! – błagałam roztrzęsiona.

– Myślę, że wyraziłem się dość jasno, Roma. Wybieraj, ale z tego, co widzę, nie masz za dużo czasu... – odparł zimnym i pozbawionym emocji głosem.

– Czemu jesteś taki okrutny, Ludis?! – Płakałam zrozpaczona.

– Zegar tyka, dziecko.

Stałam i patrzyłam na niego skamieniała. Jak mogę podjąć tak straszną decyzję? Jego wampirze życie za życie tej ludzkiej, bezradnej istoty. Jak mógł stawiać mnie przed takim wyborem?

Niestety nie było już czasu. Życie Dawida przeciekało przez palce i za chwilę wszystkie moje wątpliwości mogły się stać bezprzedmiotowe.

– W porządku, będzie, jak sobie życzysz. Pomogę ci dziś odejść – wydukałam ze łzami w oczach.

Wampir uśmiechnął się smutno. Otworzył szafkę i wyjął strzykawkę. Nie miał zamiaru wykorzystać poprzednio wypełnionej fiolki. Wbił igłę i pobrał sobie świeżą krew, lecz nie była to zwykła posoka. Jej czerwień pałała intensywnością. Pływał w niej demon: krwiożerczy, nieustępliwy, groźny i bezwzględny. Ale cudownie życiodajny, a to teraz było najważniejsze. Po chwili Ludis wbił igłę w żyłę Dawida. Demon znalazł nowego żywiciela.

Nic jednak nie wskazywało na to, że demon ożywił Dawida. Pozostawało czekać, Bóg raczy wiedzieć, jak długo. Nie... Bóg nie miał z tym nic wspólnego. Musiałam czekać, aż nastąpi jedno z dwóch: śmierć albo życie. Nowe życie.

Ale najpierw Ludis. Obietnicę należało spełnić, jakkolwiek bolesna by była. Dotknęłam czule twarzy starego druha i wyszeptalam:

– Żegnaj, mój jedyny przyjacielu!

Wampir płakał, ale podał mi nóż. Nacięłam jego rękę, brzuch, nogi. Krew zaczęła powoli wypływać. Resztę demona pochłonęła ziemia.

Wypowiedziałam zaklęcie.



Pochowałam wysuszone ciało Ludisa niedaleko strumyka. Chciałam, żeby słyszał jego szelest w swoim wiecznym śnie.

Wspomnienia ostatnich chwil ścisnęły mnie za gardło. Kiedy umierał, złapał moją dłoń i ostatkiem sił wyszeptał:

– Dziękuję, moje dziecko.

Tylko tyle i aż tyle. Nie mam już przyjaciela. Zostały tylko piękne wspomnienia wspólnie przeżytych chwil.

– Nigdy cię nie zapomnę, mój kochany – powiedziałam przez łzy i rzuciłam na skromny kopczyk polne kwiaty.

Droga do chaty była dłuższa, niż przypuszczałam. Nie wiedziałam, co tam zastanę. Kolejne martwe ciało?

Drzwi zaskrzypiały nieprzyjemnie. Weszłam do środka i ze smutkiem rozejrzałam się po izbie. Łóżko wciśnięte w kąt wydawało się puste. A jednak ktoś tam leżał. Podeszłam bliżej. Cała drżałam. Spojrzałam na ciało. Nagle Dawid otworzył oczy. Zobaczyłam w nich ciemność.



MAGDALENA KWIECIEN

Urodziła się w 1978 roku w Zielonej Górze. Prawnik z wykształcenia i urzędnik państwowy z dwudziestoletnim stażem.

Od 2010 roku mama niesfornego chłopca o imieniu Maciej, który urodził się z zespołem Downa. Właścicielka suczki Luny i kocicy Nymerii. Przygodami całej rodziniki chwali się w mediach społecznościowych.

Od czasów studiów miłośniczka fantastyki, zapalona czytelniczka między innymi *Gry o Tron*, *Władcy Pierścieni* i rodzimego *Wiedźmina*. Cicha wielbicielka tematów związanych z wampiryzmem, w szczególności twórczości Anny Rice czy cyklu *Zmierzch* Stephenie Meyer.

Zaśpiewaj dla mnie to debiut pisarski po wielu latach tworzenia do szuflady pamiętników, dzienników podróży czy opowiadań. Otwiera cykl trzech książek *Opowieści z Bagien*.

Profil autorki o nazwie @magdalena.kwiecien.writer można śledzić na Instagramie i TikToku, na Facebooku zaś dostępny jest jej fanpage: *Opowieści z Bagien*.

Redakcja: Ola Juryszczak – Olajuryszczak.com
Skład DTP: Marlena Sychowska – @akuszerkiwydawnicze
Pierwsza korekta: Kinga Rutkowska
Druga korekta: Natalia Kocot – Zyszcza.pl
Projekt okładki i ilustracje: Jagoda Miga

Copyright © Wydawnictwo Vibe, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie
z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów
niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania
pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

Wydanie I
ISBN 978-83-966320-6-7